

Ewangelia adriano-polska

Autor tekstu: **Marek Bończak**

"Z jednego krzyża można by zrobić dwie szubienice"
- rzekł fachowiec z pogardą.

Lec

I.

Tłum otaczający krzyż gęstniał z każdą chwilą.

— Szybciej, kupujcie suszone figi, bo właśnie mi się kończą! — handlarz nawoływał, spoglądając nerwowo na konającego na krzyżu młodego Żyda. Kłamał z tymi figami, ale skazaniec najwyraźniej dobiegał końca swojej bolesnej, przymusowej ekshibicji.

- Słabeusz — mruczał rozgoryczony i zły przekupień. - Nie zdążę nic sprzedać. Zaraz ci przekleci sadyści poczują woń trupa i sobie pójdą. Gdyby nie ten błazen Josef, którego przyłapałem, gdy obściskiwał moją najmłodszą, Rachel... Ale dostało się, łajdakowi! Skopałem mu jaja, że przez rok nie zbliży się do żadnej kobiety. Za przyjemność trzeba płacić, złodzieju! Na tym świecie tylko krzyż jest za darmo... — Suszone figi sprzedają, smaczne, pożywne i tanie, suszone figi... — Nie umieraj, człowieku, mniej litość nad biedakiem, który się spóźnił tylko, dlatego, że jest sprawiedliwy!

Ale on umarł.

II.

- Miłujcie swoich nieprzyjaciół, módlcie się za tych, którzy was oczerniają i przebaczajcie, nie żądając zwrotu pożyczki, lecz tym chętniej dawajcie im bardziej jesteście pewni, że nie otrzymacie z powrotem — prawil z zapalem młody rabbi Jezua. — Wówczas będziecie mieli wielką nagrodę w niebie.

- Jaką? — Zapytał bardziej rozgarnięty słuchacz.

Jezua rozpromienił się na to pytanie, zaś słuchacze, szczególnie ci, którzy opiekowali się chorymi, zmęczonymi południowym upałem, zazgrzytali ze złością zębami, posyłając gorliwcowi mordercze spojżenia.

- Teraz to dopiero się rozkręci — mruknął zdenerwowany ślepiec do leżącego na noszach paralytyka. Nie widzę od urodzenia i tylko Najwyższy wie jak bardzo jestem ciekaw świata. A przez tego bęcwała muszę jeszcze wysłuchać kazania Uzdrawiciela, które może trwać z godzinę!

- Albo i lepiej — zgodził się paralytyk. — Żebyś ty wiedział, jak mnie boli dupa.

- Pssyt! — przerwał mu przerażony ślepiec — jeszcze Mistrz usłyszysz i nas nie uzdrowi! Wiesz jak on nienawidzi przekleństw?!

- Chyba nie bardziej niż ja tych betów, w których zżerają mnie wszy i świerzby. Zatem niech się pośpieszy!

Tymczasem Jezua ben Josef rozkręcił się na dobre:

- Tą nagrodą jest mieszkanie w domu Ojca. Tam jest wiele izb i wszyscy, którzy są jak On miłosierni zmiierzają tam pewną drogą...

- Ja to bym chciał iść wreszcie do swojego domu, do mojej Rachel — rozmarzył się ślepiec. — Zobaczyć wreszcie kolor jej sutek i...

- ...bo ja jestem drogą i prawdą i życiem.

- Ech, życie — stęknął stojący nieco w oddaleniu trędowaty. - Powinno być takie cudowne, czuję to gdzieś w środku. W rzeczywistości zaś — popatrzył na swoje spuchnięte dłonie pozbawione niemal wszystkich palców — tyle jest warte.

Wypełnił go smutek tak głęboki, iż nie zauważył nawet, że Uzdrawiciel skończył kazanie i przystąpił do rutynowego uzdrawiania chorych. Nie dbał już o to. Całe cierpienie jego zmarnowanego życia skoncentrowało się w jednym, potwornym momencie, odbierając trędowatemu wszelką chęć życia. Uzdrawienie, po co, skoro nawet, gdy będzie zdrowy ma szansę jedynie na kilka lat powolnej degradacji, nieuniknionej drogi ku bolesnej śmierci? W życiu nie zaznał niczego prócz bólu, samotności i upokorzenia i teraz, gdy mógł błagać o zdrowie, przeraził się. Walczyło w nim pragnienie życia i jego najciemniejsze strony, których trędowaty doświadczył aż nadto.

W międzyczasie Rabbi skończył cudowną fazę swojego spektaklu zbawienia i oddalił się w otoczeniu uczniów.

Może to i dobrze, pomyślał trędowaty, odprowadzając wzrokiem zmęczonego Uzdrawiciela, ciężar mojego życia jest miarą jego autentyczności. Gdy stanę przed Bogiem nie będę musiał się wstydić, że zrzuciłem go na ramiona Galilejczyka. Cierpieniem spłacę długi moich grzechów. Ostatni raz, z godnością spojrział na Rabbiego i tłumy, które z błaganiem ciągnęły za nim na pustynię. Potem pokuśtykał w inną stronę, mijając przeklinającego na kogoś paralityka złożonego na cuchnącym łożu rozpaczy.

III.

Między Jesuą ben Josefem a Judą ze Skarioty toczyła się nieustanna wojna nerwów. Juda był z natury złodziejem i po chwili euforii, która kazała mu pójść za Galilejczykiem, jego złodziejska natura odezwała się z całą mocą. Juda podbierał z obfitości ofiar składanych przez wdzięcznych za uzdrowienie nieboraków. Jezua wiedział o tym doskonale, lecz udawał Greka. Szło mu to o tyle łatwiej, że wiązał z tym niegodziwcem pewne nadzieje. Nie wiedział jeszcze dokładnie, o co mu chodzi, ale był przekonany, że w odpowiednim momencie sprawy same ułożą się tak jak trzeba. Tak było zawsze. Jezua nie miał wątpliwości, że jego Abba odpowiednio kontroluje sytuację i wszystko pójdzie po jego myśli — ostatecznie był Najwyższym, tak czy nie? Dotąd nie spadł Jesule jeden włos z głowy, chociaż niemal pluł w nadęte mordy faryzeuszów i uczonych w Piśmie — jakkolwiek ci łajdacy i fałszerze kultu bożego, te sępy żerujące na jeszcze żywej, choć schorowanej tkance społeczeństwa związanego sznurem Prawa, lub, co gorsza, biczowanej przez tych łotrów lękiem przed Najwyższym, zasługiwali na wszelkie potępienie — to jednak ich władza była tak wielka, że żadne dokonane z mocą znaki i cuda nie powinny były na tak długo ratować go przed mniej lub bardziej zdradziecką śmiercią. A mimo to żył i co więcej raczył się jak gdyby nigdy nic ich podstępą gościnnością, wchodząc przysłowiowemu wilkowi do paszczy. Ostatecznie w domu świętego czy grzesznika smak kolacji zależy jedynie od sztuki kucharza. Mesjasz pomyślał z uśmiechem, że w tym jest podobny do Judasza. Tyle, że każdy z nich odgrywał inną rolę w dramacie życia. Jeśli człowiek się z tym nie pogodzi to zwariuje, albo zwątpi. A na to Nazarejczyk nie mógł sobie pozwolić. Stąd znosił niktzemność Judasza, pocieszając się myślą, że Najwyższy, wcześniej czy później zrobi z nim porządek. Nie sprawiła mu zatem większej trudności wymiana braterskiego pocałunku, gdy zdrajca przyszedł poprzekadzać w jego modlitwie na łagodnym zboczu Ogrodu Oliwnego.

IV.

- Fajnie być twórcą nowej religii — powiedział Jezua do zmęczonych Dwunastu. Wędrowali już cały dzień, nie spożywszy nawet obiadu. Nie to, że mieli pretensje do Mesjasza. Jeszcze w nocy musieli wyruszyć zupełnie nagle, bez przygotowań, by najpierw zmylić czujki wystawione przez tłumy (że niby to idą na stronę, by się w spokoju pomodlić, albo naradzić) a potem zgubić pościg, biegnąc co tchu w piersiach. Mieli już dość starego tłumu. Jezua tłumaczył, że nie można się zatrzymywać przy jednym tłumie choćby nie wiadomo jak był wielki. Kto usłyszał ten usłyszał, a komu się udało skorzystać z uzdrawiającej mocy Mesjasza, to jego szczęście. Oni musieli iść dalej i szukać inne zagubione owieczki.

Jesua zatrzymał się przy młodym drzewku figowym.

- Powiedziałem wam, że to super być powołanym przez Abba, na lidera jego nowej religii - Jezua przemówił do Apostołów jak rabbi do leniwych uczniaków: ze spokojem, ale i jakąś siłą w głosie, która wybijała z letargu i zmuszała do skupienia uwagi na zaproponowanym argumente.

Jaki on ma cudowny głos, pomyślał młody Jan.

Znowu jakieś niepotrzebne filozofowanie, spochmurniał konkretny Piotr.

Właśnie teraz, kiedy do miasta zostało pół godziny drogi, zniecierpliwiał się rozdrażniony Judasz.

Nie wierzę, by on kiedykolwiek zrozumiał, że na wszystko jest odpowiedni czas, warknął pod nosem sceptyczny Tomasz.

Josua udał, że nie odczytał ich krytycznych myśli. Cierpliwość to cnota mędrców, westchnął i mówił dalej: — Bracia. Ja wiem, że jesteście zmęczeni, ale zrozumcie — pewne myśli przychodzą mi do głowy zupełnie niespodziewanie i tak samo odchodzą. Jeśli się nimi z wami nie podzielę zaginą bezpowrotnie. Zresztą nikt was nie zmuszał, byście poszli za mną. I nie zmusza. Zawsze możecie odejść!

- Panie, nie gniewaj się — Piotr starał się uspokoić sytuację. — To wielki zaszczyt, że nas wybrałeś i nikt nie czuje się do niczego zmuszany. Ty jesteś wielkim Mesjaszem, Synem Abby i z nikim nie było nam tak dobrze jak z tobą, ale jesteśmy ludźmi prostymi. Ja, na przykład,

Andrzej i Jan jesteście rybakami. Przebac, ale nawet wypoczęci, umyjni i nakarmieni mamy problemy ze zrozumieniem twoich uczonych wywodów. Co innego, gdy mówisz w przypowieściach, jak do ludu, wtedy wszystko jest nam jasne. Teraz jesteście skonani, głodni i spragnieni, dlatego tak trudno nam przyjąć do naszych prostych czerepów twoje objawienie (mów za siebie, pomyślał ze złością Juda, choć wiedział, że Piotr ma rację. Po prostu zazdrościł rybakowi jego zdolności przywódczych i miejsca w grupie).

Reszta Apostołów skwapliwie przytaknęła.

Josua zdawał się być wzruszony. Otwartość Piotra zawsze tak na niego działała. Najwyższy chciał za Apostołów tych konkretnych ludzi, dlatego nie może mieć pretensji do nich, ale do Abby, a przecież jest to niemożliwe. Kochany Tatuś, skoro wybrał prostaczków, to widocznie tak trzeba. I nie mogąc się powstrzymać wykrzyknął: — Uwielbiony bądź kochany Tatusiu, bo właśnie tych prostaków wybrałeś by objawić im siebie i mnie, swojego Mesjasza! Tak, Abba, niech się stanie wola Twoja a nie moja.

Po czym ruszył w kierunku rysujących się na horyzoncie konturów miasta.

Uczniowie westchnęli z ulgą.

Ale najwięcej szczęścia miało tego dnia drzewko figowe.

V.

Josua nie lubił swojej rodziny.

Owszem, na początku kochał ich bezgranicznie. Tego podstarzałego Józefa, który nauczył go ciesiołki i jego dużo młodszą żonę, cierpliwą nauczycielkę czytania i całkowicie oddaną Bogu niewiastę. Jednak im starszy się stawał, tym mocniej Abba przemawiał w głębi jego serca. Wszystko, co stawało na drodze jego duchowego zjednoczenia z Najwyższym, poczęło budzić w nim najpierw zniecierpliwienie a potem zbliżoną do wrogości niechęć. Pewnego dnia, gdy miał kilkanaście lat, gdy obudził się w obozowisku pielgrzymów rozłożonym tuż za murami Świętego Miasta, uświadomił sobie, że już ich nie kocha. Nie nastąpiło to od razu. Jezua podniósł się na łokciu i spojrzał na przytulonych do siebie rodziców. Józef leżał na wznak a jego płowa, srebrna broda godna patriarchy rozdzielała się na dwoje, jak rzeka opływająca skałę, spoczywającą w jej korycie. Tą skałą była kształtna głowa śpiącej Maryi, przytulonej do jego szerokiej piersi. Jezua nie miał wątpliwości, że to było dobre małżeństwo, pomimo znacznej różnicy wieku. A może właśnie dlatego. Na przykład nigdy nie podnosili na siebie głosu. Tuż przed wybuchem jedno z nich po prostu spuszczało z tonu. Robili to na zmianę, jakby się umówili, że bez względu na to, kto ma rację, muszą ma przemian podnosić białą chorągiewkę. Josua był pewien, że działo się tak z jego powodu. Czasami Josef zaciskał dłonie, aż kłykcie świeciły mu jak małe kościste księżycy. Innym razem Maryja zagryzała wargi do krwi, którą potem dyskretnie zlizywała. Ale nie pozwolili sobie nigdy na pełną manifestację wzajemnych uczuć, dobrych czy złych, w obecności Josuły.

Gdy to zrozumiał coś w nim umarło. Korzystając z ich zaufania wycofał się z karawany wędrującej do domu i ukrył się w Świątyni. Miał dość milczącej życzliwości Józefa i wylewnej gadatliwości matki. Domyślał się, że jest dla nich ciężarem, wprowadzającym w ich pożycie małżeńskie jakąś formę zwyrodnienia. Dla Maryi był obiecany Zbawcą, o którego należy dbać jak o najwładniejszy egzotyczny kwiat. Józef nie do końca uwierzył w historię z aniołem. Po prostu nie mógł. Jego męska duma została dotkliwie pobita, nawet, jeśli agresorem był sam Duch Święty. Z drugiej strony Jezua był pozornie normalnym, niczym nie wyróżniającym się dzieciakiem, może jedynie trochę inteligentniejszym od swych rówieśników. Nic w jego zachowaniu nie sugerowało, że jest Namaszczonym.

Te trzy dni spędzone w świątyni były najpiękniejszymi w jego życiu. Mocno jak nigdy czuł zew Abby, przenikający każdą komórkę boskiego ciała. Żył jak w transie: dzień i noc spędzał w domu Najwyższego, jedząc tylko to, co nieświadomie uzebrał, pijąc wodę z pobliskiego źródła. Najcudowniejsze były wielogodzinne rozmowy o Bogu z każdym, kto miał na to ochotę. Chłopiec zaczepiał rozmodlonych pielgrzymów, zadając im pytania dotyczące Pięcioksięgu i jego interpretacji. Najczęściej dostawał kopniaka lub kuksańca, którym towarzyszyły niewybredne epitety na temat cnoty jego matki i babki. Niektórzy jednak, bardziej pokojowo usposobieni lub z różnych powodów zainteresowani rozmową ze ślicznym chłopcem, siadali z nim w kącie świątynnego dziedzińca i podejmowali rozmowę. Po pierwszych pięciu minutach rozmówcy rozumieli, że chłopiec jest niezwykle. Jednych, mniej wykształconych, uwodziła melodia jego głosu, moc młodzieńczego zapału emanująca z każdego słowa, mimo że Jezua mówił z odstręczającym galilejskim akcentem. Inni, bardziej obeznani z pismami natchnionymi, dziwili się jego umiejętności dokładnego cytowania proroków oraz zdolności konstruowania

składnych wywodów, w których owe cytaty zajmowały to miejsce, które w dobrym drożdźowcu zajmują świeże rodzyunki.

Trzeciego dnia, gdy Josua był już świątynną maskotką, którą wszyscy pielgrzymi traktowali niemalże z życzliwością, na rozmowę z cudownym przybłądą zdecydował się jeden z uczonych w piśmie. Nie był to zbyt wielki uczyony; tak naprawdę w ogóle nie był uczyony, bo miał wstręt do słowa pisanego. Na szczęście jego ojciec był zamożnym i dzięki temu wpływowym faryzeuszem. Uczyony w piśmie nigdy nie pytał tatusia ile zainwestował w łapówki, by jego synek posiadał tak zaszczytny tytuł. Był na tyle cwany, aby zrozumieć, że tak naprawdę jego rodzic działał przede wszystkim ze względu na powagę własnej pozycji społecznej. Bo kto to słyszał, by szacunkiem Sanhedrynu cieszył się ojciec nieuka. Toż wiadomo, że skoro spłodzony jest osioł, to płodzący nie może być Salomonem. Dlatego nasz uczyony nigdy staremu nie podziękował i pławił się w zaszczytach i przyjemnościach zarezerwowanych dla znawców Woli Najwyższego.

Do końca nie wiadomo, dlaczego uczyony zdecydował się na rozmowę z Jesuą. Może chciał zaszpanować przed swoimi utrzymankami; a może poczuł nagły akt dobrej woli, nieodłącznie towarzyszący dużej ilości spożytego wina (podobnie jak wybuchy niepohamowanej agresji — tego dnia mały święty chłopiec miał szczęście)? W każdym razie tego poranka biblista zagadnął wychudzonego wyrostka: — Ty jesteś Jeszua ben Josef?

Chłopiec przytaknął zaskoczony. Majestatyczny wyraz twarzy arystokraty wzmocniony wytwornością jego szat wyraźnie go ośmielał.

Ale jedynie przez chwilę. Żądza wiedzy i konfrontacji z tymi, którzy uważali się za wiedzących na temat jego Abby rozjaśniła oblicze Mesjasza. Wreszcie ktoś kompetentny, pomyślał z radością. Znudził się, bowiem, ciągłym pouczeniem prostaków, których wiedza nie wychodziła poza dekalog. Josua szukał wiedzy i teraz miał nadzieję, że w rozmowie z uczonym w piśmie zdobędzie jej choćby szczyptę. Dlatego odpowiedział ochotczo: — W istocie, Panie. W czym mogę ci służyć?

- Powiedziano mi — nadał się znawca, — że jesteś bystrym chłopcem. Więcej, chodzą słuchy, że jak na swój młody wiek, odznaczasz się niebywałą wiedzą na Najważniejsze Tematy.

Josua milczał dyplomatycznie. Wokół nich powoli gromadził się tłum ciekawskich pielgrzymów znudzonych modlitwą, albo tych, którzy powracali do żon i dzieci, ubożsi o baranka, czy parę synogarlic, ale rozliczeni z Najwyższym.

Wśród tego pokornego tłumu biblista czuł się, jak ryba w wodzie.

- Nie należę, jak możesz się domyślać, do ludzi łatwowiernych. Najwyższy mi światkiem, że nie. Moim obowiązkiem jest sprawdzić, czy aby twoje poglądy są zgodne z wolą Adonaja. Dlatego zadam ci pytanie. Jeżeli odpowiesz poprawnie to będziesz mógł tu pozostać jeszcze kilka dni. Jeżeli się pomylisz, to jako heretyk zostaniesz biczowany a potem zgładzony przez ukamienowanie. Zawołać strażę! - zwrócił się do zbaraniałych pielgrzymów.

Po tłumie przeszedł szmer. Niektórzy zgrzytali zębami, bo mieli nadzieję, że jednak, gdy mały zmięknie z głodu, dobiorą się do jego urodziwego ciała; inni, którzy zapłacili haracz Najwyższemu (tak naprawdę, to zyskali na tym jedynie kapłani, ale nie mówcie o tym głośno), robili zakłady ze znudzonymi modlitwą z nadzieją, że mimo wszystko nie wrócą do domu z deficytem (żony w owych czasach były bardzo surowe, jeśli chodzi o budżet domowy), a może nawet zarobią na szarooką, długoudą kurtyzanę; jedną z tych, które zachęcały do degustacji swych wdzięków przed świątynną bramą, usztywniającym męską fantazję tańcem brzucha. Z taką zaznają rozkoszy, za którą będą tęsknić przez cały rok, gnijąc w małżeńskim łożu po kanonicznych kopulacjach, aż wrócą do świętego miasta Jeruzalem, by uwielbić Najwyższego trupami owiec, wołów i ptactwa.

Niemal wszyscy stawiali na uczonego w piśmie, gdyż mimo osobistych sympatii, oraz dziwnie silnej intuicji, byli zbyt podlegli systemowi, by nagle przeciwstawić się oficjalnemu autorytetowi religijnemu. Cóż, jak było na początku teraz i zawsze i na wieki wieków...

Josua nie zraził się ogólnym sceptycyzmem. Już dawno zrozumiał, iż jest kimś wyjątkowym. To nie byle co być wcielonym Bogiem. Jego człowieczeństwo, z racji wieku dawało mu się we znaki. Trudno być Absolutem traktowanym z lekceważeniem przez starszych od niego siwobrodych głupców. Przez dwa tysiące lat teologowie wygładzą wszystkie kany paradoksu, ale dla młodego Josuły liczyło się tu i teraz absolutnie niewyrażalnej rzeczywistości. Jego samoświadomość bóstwa wcielonego przerastało możliwości dwunastoletniej osobowości, tak jak będzie przerastało samoświadomość dyndającego na krzyżu trzydziestoparolatka. Zmieścić Boga w człowieka — to najstraszniejsza z tortur, nieskończenie dotkliwsza od męki krzyża.

Mimo to, Jezua radził sobie dobrze z mocą, która jak wzburzone morze uderzała w ograniczoność jego młodzieńczej osobowości. Tylko niezwykle blask szarych oczu Jesuły zdradzał wewnętrzne zmagania. Potężne mury bożego domu zdawały się być niczym, wobec samokontroli młodego Mesjasza, pobudzonego bliskością Niewyraźnego Majestatu. Miał wrażenie, iż mógłby jednym aktem woli zniszczyć cały ten ogromny monument Starego Przymierza i z tą samą łatwością odbudować go jeszcze wspanialszym, lecz tym razem odpowiadającym woli Najwyższego.

- Odpowiedz mi, zatem, młodzieńcze: jakie jest najważniejsze Boże przykazanie? A wy wszyscy cicho! — arystokrata krzyknął do tłumu, jakby ten rzeczywiście zdolny był pomóc Jesule.

Chłopiec zastanowił się. Oczywiście nie nad odpowiedzią — tę znał doskonale. Chodziło raczej o to, czy po udzieleniu odpowiedzi zadać pytanie uczonemu. W ten sposób mógłby sprawdzić na ile zna Prawdy Najwyższego. Z drugiej strony Jezua wiedział, że igra z zimnym ogniem ambicji i władzy, które zanieczyszczą będą, niczym ptasie odchody świątynny dziedziniec, wszelką religię aż do skończenia świata. Właśnie dlatego postanowił zaryzykować.

- Oto odpowiedź: najważniejszym przykazaniem jest: będziesz miłował Najwyższego. Z całego serca, ze wszystkich sił, z całej duszy i w ogóle...a bliźniego swego, jak siebie samego. Poza tym reszta to ozdobny chłam.

Złośliwy uśmieszek znikł z ust biblisty. Josua odpowiedział bezbłędnie i na pewno wielu z tych prostaków wie o tym. Dzieciak ocalił skórę, to pewne, ale jak wyjść z honorem z tej niezręcznej sytuacji? Najlepszą obroną jest atak. Dlatego trzeba młokosa zasypać pytaniami o komentarze midraszowe do tego wersetu, bo do cholery, szkoda ojcowskich pieniędzy, żeby taki nie wiadomo kto poddawał w wątpliwość porządek ustanowiony przez świętych patriarchów.

- Teraz ja mam pytanie — powiedział zniecierpliwiony Josua. — Mogę?

Uczony nie miał wyjścia. Poza tym, chociaż zaczął się bać kompromitacji, nie mógł po prostu uciąć rozmowę brutalnym „nie”. Dostrzegł kilku faryzeuszy w ich czarnych eleganckich szatach. Co powie ojciec, gdy skompromituje się przed nimi? Wolał o tym nie myśleć.

- Pytaj synu - rzekł uczony w Piśmie pozornie władczym tonem.

- Powiedz panie: kim jest Najwyższy, Jaka jest jego natura?

To był cios poniżej pasa, ale w dyspucie nie ma sentymentów. Na razie ze wszystkich istot zamieszkujących Ziemię, jedynie Josua wiedział, że Najwyższy jest Doskonałym Bytem, Czystym Aktem, Jednością Trzech Osób a jego naturą jest Miłość (choć co to znaczy nikt nie wie, bo dla Boga miłość może być czymś innym niż dla nas, zaś analogia jest zawsze ambiwalentna) - ostatecznie jako Syn był jego ważną częścią składową.

Uczony w Piśmie zacisnął wąskie wargi i począł szarpać swą długą, rzadką brodę.

- Najwyższy...to, w rzeczy samej, Najwyższy. Bóg Abrahama...i tego, no Izaaka...i jego syna Jakuba...- mamrotał niepewnie biblista.

Jezua triumfował, choć dyskretnie.

- To nie jest odpowiedź — stwierdził mesjasz.

Lud zdębiał.

Pieniądze przeszły z ręki do ręki. Ktoś pośpieszył w poszukiwaniu najzdolniejszych ladaczników; ktoś inny przeklinał pod nosem, nie zważając na świętość miejsca.

Josua był w transie. Pokonał religijnego profesjonalistę! To było dopiero coś. Teraz wyjawi właściwą odpowiedź i w ten sposób definitywnie zawstydzi przeciwnika. Młodzieńcowi tak przypadła do gustu dysputa z zarozumiałcem, że podobne praktykował przez całe życie i co cieszy jeszcze bardziej — nigdy nie przegrał!

Już otwierał usta, na które cisnęły się słowa „Ja jestem Światłością świata”, albo coś w tym stylu, gdy ciszę Świątynnego przedśionka rozdarł podwójny krzyk.

- Synku! - krzyczała kobieta.

- Josua, ty łobuzie! — krzyczał mężczyzna.

Wówczas Josua ostatecznie przestał ich kochać.

Gdy po latach wracał myślą do tamtych dni był wdzięczny rodzicom za uratowanie go od popełnienia największego błędu w swoim życiu. Mimo to, wstyd, jakiego się wówczas najadł, szczególnie, gdy Józef (całkiem słusznie) wyciągał go za uszy przy wszystkich jego wielbicielach, pozostał z zadrą w sercu, która nie pozwalała mu pokochać ich na nowo. Nie pomogła nawet świadomość, że wściekły uczony w chwili, gdy Josua ogłaszał sentencję,

postanowił najać zawodowego mordercę i zabić chłopca jeszcze tego samego wieczora. Kuksańce Józefa uratowały mu życie, bo na ich widok biblista zaniechał zemsty i z pogardą wmieszał się w tłum.

Cóż, rany młodości bolą całe życie.

VI.

Pewnego pogodnego poranka Josua i jego uczniowie ponownie znaleźli się przy młodym drzewku figowym. Okoliczności też były podobne — Jezua narozrabiał w świątyni i musieli wiać z miasta.

Mesjasz był podniecony.

- Ale dałem im bobu! Nie będą więcej handlować w domu mojego Abby!

- Oj będą, będą — Piotr potrząsnął głową. — Tylko zatrudnią więcej ochraniarzy. A ty nie masz już wstępu do świątyni.

Josua wcale się tym nie przejął.

- Nie wiecie, że już wkrótce prawdziwi wyznawcy będą czcili Najwyższego w Duchu i prawdzie. Moim wyznawcom nie będą potrzebne żadne mury, bo ich serca będą żywymi świątyniami, zamieszkanymi przez Ducha.

Ależ się mylił. A może tylko tak bajerował — historia pokazuje coś zgoła innego.

- Widzieliście, jaką zrobili minę, gdy im powiedziałem, że mogę rozwalić tę świątynię i odbudować ją w trzy dni?

- A mógłbyś? - zapytał sceptycznie Tomasz.

Josua popatrzył na niego, jakby powiedział coś zupełnie niedorzecznego.

- To tylko taka metafora. Trzy dni... rozumiesz? Chodzi mi o to, że mało nie narobili w majtki jak powiedziałem, że rozwalę tę ich świątynię. A wiecie, dlaczego? Bo oni tam robią kasę — w imię Abby.

- A mi szkoda tych handlarzy — włączył się do dyskusji Andrzej. — Niektórzy z nich ciężko pracowali cały rok, by móc wystawić na sprzedaż swoje towary. Przez ciebie, w jednej chwili, stracili wszystko na rzecz cwaniaków i obiboków.

Jezua spoważniał.

- Każda rewolucja żąda ofiar.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Uczniowie myśleli o przyszłości ich rewolucji religijnej. Mimo miłości do mistrza czuli się zmęczeni i coraz częściej myśleli o domu: nie pilnowanych żonach pracujących nad siły, rosnących bez ojców dzieciach, osamotnionych rodzicach, być może niszczącym dobytku.

Josua chcąc nie chcąc słyszał ich myśli i było mu przykro. Miał świadomość odpowiedzialności za tych ludzi i chciał jakoś ich pocieszyć.

- Posłuchajcie moi drodzy. Wiem ile was kosztowało pójść za mną, ale wiem również, że jeszcze w tym życiu Abba da wam sto razy tyle, ile zostawiliście w domu...

- Sto żon... - Rozmarzył się na głos Juda Tadeusz. — Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem z Rachel.

- ...oraz życie wieczne, gdy umrzecie (to znaczy, gdy zostanieie zabici, pomyślał, ale nie chciał ich przedwcześnie niepokoić).

- Kiedy, mistrzu? — zapytał Piotr nieco sceptycznym tonem.

Josua stropił się.

- Nie wiem - rozłożył ręce. — Ale Abba wie. — dodał szybko.

- Na pewno już niedługo — wtrącił Jan, spoglądając z uwielbieniem na Jesuę.

Mesjasz nie odpowiedział, ale przykucnął i zaczął rysować palcem na suchym, brunatnym piasku. Uczniowie wiedzieli, że w takich chwilach nie należało mu przeszkadzać. Niektórzy myśleli, że rozmawia z Abba, inni, bardziej sceptyczni, uważali, że głęboko rozmyśla, albo po prostu izoluje się mentalnie od otoczenia i tak odpoczywa.

Co ciekawsi zajrzeli mu przez ramię.

Josua rysował krzyżyki.

Minęło jakieś dziesięć minut zanim Mesjasz powrócił do swoich uczniów. Wstał energicznie z ziemi i przemówił łagodnie.

- Pamiętacie, jak wam powiedziałem, gdy zmierzaliśmy do miasta, że fajnie jest być liderem religijnym z woli Abby?

Oczywiście nie pamiętali i byli bardzo zdziwieni, że on tak.

- Nie szkodzi. Posłuchajcie, proszę teraz.

Podszedł do drzewka figowego.

- Nie ma na nim owoców — stwierdził to, co wszyscy wiedzieli. To nie była odpowiednia pora roku na owoce. Tak chciał Najwyższy.

- Rozczarowałeś mnie, zatem uschnij!

Biedne drzewko posłusznie zrzuciło nagle pożółkłe liście i skartowaciało. Soki w nim wyschły a drewno stało się suche i nieużyteczne. Roślina umarła.

Uczniowie pierwszy raz widzieli niszczące działanie mocy mistrza i byli przerażeni. Każdy z nich wyobraził sobie, co by się stało gdyby Jezua kazał jemu uschnąć. Wszyscy postanowili sobie, że będą wobec mesjasza jeszcze bardziej grzeczni i posłuszni.

- Dlaczego to zrobiłem? — zapytał ich po chwili mistrz.

- Bo drzewko nie dało ci tego, czego od niego oczekiwałeś — odparł drżącym głosem najodważniejszy Piotr.

- Właśnie. Nie było gotowe na to, by nakarmić mnie swoimi figami. Dlatego, powiadam wam, zawsze bądźcie gotowi, bo nie wiecie, kiedy Syn Człowieczy przyjdzie i zażąda owocu waszego życia. Koniec części oficjalnej.

Uczniowie wyraźnie się rozluźnili. Zaczęli nawet żartować ze swojego strachu z przed chwili.

- Powiedzcie mi — podjął temat Jezua — zrobiłem dobrze, czy źle?

Nagle zapadła grobowa cisza.

- No, bo popatrzcie: drzewko nie mogło dać mi owocu. Wymagałem od niego rzeczy niemożliwej. Pytam się — czy to moralne z mojej strony?

Tak, już! Nikt nie jest na tyle głupi, by cię krytykować!

Josua westchnął.

- To było niemoralne. Przeciwwstawiłem się prawu natury, by pouczyć was o królestwie niebieskim. Kiedyś uczeni w Piśmie wpadną na pomysł, że łaska buduje na naturze, a nie niszczy jej. Ja przed chwilą zniszczyłem naturę.

- Mówiłem wam, że rewolucja potrzebuje ofiar. Źle się wyraziłem. Ofiary, jeśli będą, są zawsze nie chcianą konsekwencją. Cel nigdy nie uświęca środków.

- Więc, dlaczego...? — zapytał któryś z uczniów.

Mesjasz westchnął jeszcze głębiej niż poprzednio.

- Gdy mówiłem, że fajnie być liderem religijnym ironizowałem. Przed chwilą popełniłem coś złego — zamieniłem życie w śmierć, jako kara za coś, co nie było winą. Zaprzeczyłem sobie. Mimo to, w przyszłości mądrzy znawcy mojego życia będą za wszelką cenę starali się udowodnić, że to, co zrobiłem jest dobre. A to, dlatego, że służyło to wyższemu celowi; albo, dlatego, że mam władzę absolutną nad naturą; wreszcie stwierdzą, iż skoro to ja uczyniłem, to musi to być dobre, w jakimś wyższym winiarze. Gdy raz stwierdzą, że jestem doskonały odbiorą mi nawet prawa do wysypki, czy bólu brzucha. Uczynią ze mnie dogmat: obleją mnie gipsem, zdejną odlew i będą go ubóstwiać. Im bardziej będą go wielbić, tym częściej będą manipulować gipsowym popiersiem pewni, że to ja. A to moje martwe oblicze będzie jak lustro, w którym odbijać się będą twarze religijnych zarządców. I będą głosić to, co zobaczyli ubrane w święte wersety, całkowicie pewni swych racji. Moje życie stanie się, dla wielu, kanonicznym zbiorem kilkunastu opowieści i tysięcy sylogizmów z nich zbudowanych. Te sylogizmy, zaś, będą ważniejsze ode mnie.

- Czy będzie aż tak źle? — zapytał Jan, który jako jedyny z Dwunastu zrozumiał słowa Mistrza, gdyż słuchał sercem.

- Nie wiem, lecz widzę, co kapłani, faryzeusze i uczeni w Piśmie zrobili z Przymierzem.

Jan wiedział, że gdy Josua nie chciał czegoś wiedzieć, tego po prostu nie wiedział. I zawsze miał do tego solidny powód. Ponadto wiedział, że mesjasz boi się tego, o czym mówił bardziej niż krzyża, którego liczne wersje rysował na piasku.

VII.

Josua wiedział, że nie będzie żyć wiecznie. Miał na myśli ten świat. Czuł, że wielka chwila zbliża się nieunikniona i straszna. Jeśli chciał, by jego Droga przetrwała musiał znaleźć kogoś, kto zjednoczy uczniów, kto ich poprowadzi dalej, przez świat. Jak w przypadku Judasza zawierzył całkowicie woli Najwyższego. Po całonocnej modlitwie wybrał Piotra.

Co tu dużo ukrywać, Josua wolałby uduchowionego Jana, który rozumiał go najlepiej ze wszystkich.

Piotr był silnym, prawym facetem, ale zbyt rozsądnym, niemal prostackim, na swój sposób mądrym, lecz bez wielkiej osobowości. Mesjaszowi imponowała w Piotrze jego stałość opinii, rozważa w podejmowaniu decyzji, poza tym miał on wpływ na Josuę niebagatelny i czasami ratował go przed wieloma zbyt pochopnymi krokami. Tak, on będzie w stanie utrzymać we wspólnocie wszystkich Apostołów swoją prostą, ale głęboką mądrością i rozważą. Nie narzuci im przy tym swojej woli, nie odbierze autonomii, jaką Mesjasz sam im dał. Josua nie potrzebował, bowiem dla swych uczniów zwierzchnika, ale starszego brata.

VIII.

Nie wiedział, dlaczego kocha tych ludzi. Czasami przez całe dni przemyślał oczy niewidomym, podnosił z brudnych legowisk paralityków, dotykał cuchnące ciała trędowatych, po czym często wymiotował, jakby chciał pozbyć się żołądka i wątroby. No cóż, miał ten dar i jakaś wewnętrzna siła niemal zmuszała go często, by z niego korzystał, aż do całkowitego wyczerpania sił.

Chociaż bywało i tak, że przez dłuższy czas nie uleczył nawet złamanego paznokcia.

Swoją drogą moc, jaką posiadał nie pochodziła od niego. To Abba, wylewał na ludzi błogosławieństwo poprzez swego syna. W momencie uzdrawiania Josua czuł ogromną siłę odwiecznej miłości, przepływającą na uzdrawianego a przy tym doznawał ogromnej rozkoszy, której z niczym nie dawało się porównać. Dlatego Josua nie mógł narzekać na brak pozytywnych aspektów swojej działalności dobroczynnej. Nie mówiąc już o tym, że po kilku uzdrowieniach ludzie przestawali kpić z tego, co mówił o królestwie bożym.

Dlatego, gdy poczuł, że moc miłości z niego upływa Josua był zaskoczony. Zwykle to on był dystrybutorem dokładnie podporządkowanym własnej woli uzdrawiania. Teraz ktoś zrobił dziurę w dystrybutorze.

- Ktoś mnie dotknął — Jezua był zaniepokojony.

- Nic dziwnego, Mistrzu — wszechobecny Piotr torował drogę w tłumie. — Wiele osób dotyka twoich szat.

- Nie rozumiesz. Moc uszła ze mnie. Ktoś mnie dotknął z wiarą.

Josua zatrzymał się. Sytuacja zdawała się go intrygować i musiał wyjaśnić ją do końca.

- Kto mnie dotknął? — krzyknął.

Czy wiedział, kto to był? Czy to pytanie miało dać szansę zuchwalcowi do pokornego przyznania się do winy?

- Panie, Panie, to ja cię dotknęłam.

Z tłumy wyszła niewiasta. Wychudła, zgarbiona, ledwo szła, opierając się na drewnianej lasce. Kobieta upadła na kolana. Chusta zsunęła się jej z głowy, ukazując rzadkie, siwe włosy.

- Dlaczego? - zapytał łagodnie.

Kobieta zaniosła się szlochem. Był to płacz oczyszczający i Jezua czekał cierpliwie, aż kobieta wypłacze się do końca. Gdy ucichła ujął ją za rękę i podniósł z ziemi.

- Już lepiej? — zapytał, ocierając delikatnie kciukiem łzy z jej oczu.

Kiwnęła siwą głową.

- Panie, przepraszam, ale nie miałam wyboru. Od kilkunastu lat choruję na krwotok.

Tłum cofnął się ze złowrogim szmerem, z którego można było wyraźnie wyłowić słowo „nieczystość”.

Josua nienawidził zabobonu, który czynił krew czymś nieczystym. Od dawna miał zamiar z tym skończyć. Miał już nawet plan ostatniej wieczerzy, podczas której picie jego krwi stanie się koniecznym elementem zbawienia.

Kobieta myślała, że jego milczenie jest znakiem dezaprobaty a może i potępienia.

- Szukałam pomocy u lekarzy, panie. Ale, choć wydałam cały majątek, nic mi nie pomogli. Ten codzienny ból... — znowu zaniosła się płaczem.

- Twoja wiara cię uzdrowiła — mesjasz wymamrotał regułkę i przytulił ją do siebie na znak dla tłumy, że jest już czysta. Kobieta pachniała ziołami, jak... jego matka. Z trudnością przypomniał sobie zapach Miriam. Tak dawno z nią nie rozmawiał. Od wesela z Kany. Wtedy jej ustąpił, choć wbrew swej woli. Od tamtego czasu nie chciał mieć z nią nic do czynienia. Zapach matki... mimo wszystko trochę mu jej brakowało.

Uzdrowiona kobieta z czcią ucałowała jego dłonie (nigdy tego nie lubił) i wtopiła się w tłum.

Jej czarne szaty przypomniały mu wdowie odzienie matki. Pamiętał ich ostatnią rozmowę z przed kilku miesięcy. Czy nie wiesz, że ja należę do Najwyższego i jego sprawy są dla mnie najważniejsze? — zacytował jej powiedzonko sprzed kilkunastu lat, gdy z Józefem wyciągnęli

go niemal na siłę ze świątyni. Miriam spuściła głowę i nic nie odpowiedziała. Josua nie odważył się czytać w jej myślach. Biła od niej przedziwna moc, przed którą czuł respekt.

Z uzdrowionej kobiety emanowała podobna siła tylko o wiele słabsza. Josua wyraźnie wyczuł w niej obecność Najwyższego. To, dlatego kochał ludzi. Widział w nich Abbę. Każdy nosił w sobie piękno jego podobieństwa, jak żdźbła trawy lśnią nad ranem kroplami rosy. Syn rozkoszował się tą boską świeżością, uważając każdego człowieka za cel swego istnienia. Człowiek, stworzony na podobieństwo Najwyższego, stanowił dla Josuły źródło doświadczenia miłości Abby, której Syn nigdy nie miał dosyć.

To nie znaczy, że ludzie byli dla niego jedynie nosicielami boskości. W każdym z nich wyrażała się ona inaczej i była dostępna jedynie, gdy akceptował i kochał człowieka jako konkretną, niepowtarzalną osobę.

Josua otwierał się na człowieka i Abbę w nim obecnego: to bosko-ludzkie doświadczenie miłości stanowiło ostateczny fundament jego życia.

Dlatego cieszył się, że Najwyższy uzdrowił tamtą kobietę z krwotoku, pomimo, że była nimfomanką i w tej chwili uwodziła młodego wieśniaka w poszukiwaniu zapomnianej rozkoszy, za którą tęskniła codziennie przez tyle lat.

Solidna, drewniana laska tkwiła teraz w drżącej ręce niewidomego.

Zapłacił dochodem z godzinnej żebraniny — to sprawiedliwa cena.

IX.

Josua czuł, że umiera.

Niewypowiedziany ból zmasakrowanego ciała, który pulsował w rytm bicia przeciążonego serca ustępował. Jego miejsce zajmowało zdradzieckie otępienie, odbierające wolę walki o oddech i mącące zmysły. Wobec wcześniejszego bólu, marazm zdawał być się rozkoszą. Lecz Josua, który czuł czającą się na jej dnie lodowatą groźbę, walczył z całej siły woli, by nie utracić świadomości.

Niepostrzeżenie powrócił strach. Opuścił go w kilka sekund po przybiciu do krzyża, gdy minął pierwszy szok i cierpienie na dobre zawładnęło każdą komórką nerwową skazańca. Teraz, gdy ból ustąpił zimnemu obumieraniu, wspinającemu się powoli, lecz konsekwentnie po krwawym, dygocącym ochłapie mięsa, który kiedyś był pięknym, masywnym ciałem, lęk powrócił silny, niepokonany. Zwierzęcy wymiar ludzkiej natury Josuły wył z przerażenia wobec rzeczywistości umierających tkanek. Jego człowieczeństwo skurczyło się w sobie, niezdolne przeciwstawić się atawistycznemu lękowi przed śmiercią. Boskość, pozbawiona swej odwiecznej wszechmocnej nietykalności, kryła się za nędzną zasłoną skulonego człowieczeństwa. Mrok kładł się nieprzeniknioną kurtyną zasłaniającą nieodwołalnie scenę rzeczywistości, na której świat jak gdyby nigdy nic odgrywał swoją wielowątkową komedię o niejasnym przesłaniu. Czasami jakieś kolory rozświetlały słabo ciemności; co nieraz docierały do niego strzępy zdań, częściej pojedyncze słowa, przeważnie bluźnierstwa. Josua nie chciał ich słuchać. Miał dosyć. Więcej nie dam rady, pomyślał i dał za wygraną. Natychmiast począł spadać w bezdenną przepaść; ciemność wirowała coraz szybciej. Ostatni umierał lęk, zostawiając miejsce błogości niebytu, delikatnie nasączonego obecnością Absolutu, czekającego za ostatnim paroksyzmem umierania.

- Abba — jęknął Josua.

- Synu - zapłakała kobieta.

Umierający z trudem otworzył oczy.

Do jego posiniaczonych, zakrwawionych stóp tuliła się Miriam. Wychudła, siwa - przedwcześnie postarzała, złamana w pół kobieta, która była jego matką. Tuż przy niej stał Jan. Nieudolnie podtrzymywał ją, by nie upadła, choć sam ledwo stał na nogach.

Josua czuł bijącą od nich miłość. To ona zawróciła go z Ostatniej Drogi. Zrozumiał, że miał jeszcze jedną rzecz do zrobienia; może najważniejszą w całym jego życiu. Od kiedy skończył dwanaście lat przestał kochać swoją matkę. Traktował jej troskliwość, jak ciężar; drażniła go ona i gdy osiągnął swobodę działania odizolował się od niej. Przestał też nazywać ją matką - już nie mógł. Tłumaczył sobie, że miał tylko Ojca — Abbę i tylko on ma prawo do jego synowskich uczuć. Teraz, z perspektywy krzyża, gdy tylko Miriam i Jan pozostali przy nim, uświadomił sobie jak bardzo błędził przez tyle lat.

Josua przypomniał sobie niedawny epizod z drzewkiem figowym. Wówczas tęsknił za tym, by ktoś spojrział na niego, jak na Josuę ben Josefa, człowieka zmęczonego swą boskością; zdolnego do pomyłek i niedorzeczności; dorastającego boleśnie do miary swego mesjańskiego

powołania. Jednocześnie z uporem odrzucał matczyne uczucie, trochę natrętnej i nie do końca rozumiejącej istoty, która nie pragnęła niczego nad jego synowską miłość.

Josua westchnął. Każde uderzenie konającego serca sprawiało mu ogromny ból. Wstrząsnął okaleczoną głową, by odgonić muchy uczujące gromadnie na jego opuchniętej, zsiniałej twarzy i zmusił się do mówienia.

- Niewiasto - nawet w takiej chwili nie potrafił nazwać jej matką — oto syn Twój.

Jan przytulił do siebie drobną Miriam, która oparła zmęczoną głowę na jego młodzieńczym ramieniu.

Przepraszam, Mamo, pomyślał Mesjasz. On da ci tę miłość, której ja nie potrafiłem. Na niego wyleję całą moją miłość do ciebie. Przez jego czułość będę ci wynagradzał wszystkie chwile, gdy z mojej winy byłaś samotna i odtrącona...

- Oto twoja nowa matka, Janie.

Potem opadł z resztek sił i bezwładnie zawisł na trzech gwoździach naszej ludzkiej sprawiedliwości. Utrzymały — nawet Boga, by nie spłynął w stęsknione ramiona Matki. Jesteśmy sumiennymi kowalami tego świata.

X.

Ostatnią myślą, jaką odczytał przed śmiercią Mesjasz, były narzekania drobnego handlarza fig, którego córka Rachel straciła cnotę za sprawą pewnego Josefa. Biedak nie wiedział, że za kilka miesięcy stanie się dziadkiem jednego z najważniejszych członków gminy chrześcijańskiej, późniejszego męczennika, co zapewni mu dostatni byt i szacunek do końca jego dni.

Tak, nadchodziły ciekawe czasy; nowe ciekawe czasy.

Na tę myśl Josua uśmiechnął się pierwszy raz od bardzo dawna; i umarł z tym uśmiechem na splekanych wargach.

Cierpkim.

Zobacz także te strony:

[Ewangelia według Pradziadka Świętego](#)

[Kuszenie Jezusa](#)

[Ofiara mająca zbawić ludzkość](#)

[Zbawiciel](#)

[Marek Bończak](#)

Były ksiądz; poglądy niezgodne z doktryną Kościoła skłoniły go do rezygnacji z kapłaństwa.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 08-04-2003 Ostatnia zmiana: 06-09-2003)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,2391) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,2391>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne

programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl